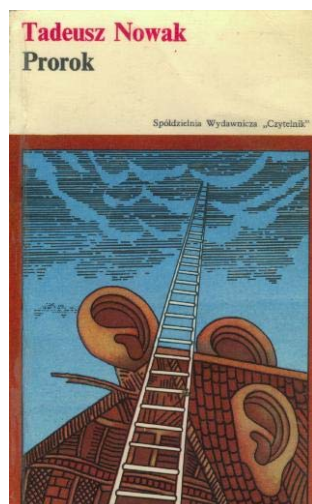


Strony internetowe Roberta Kolebuka

✉ kolebukr@poczta.onet.pl ✉



Okładka wydania II
z roku 1980.

Okładkę zaprojektowała
Elżbieta Gaudasińska

Tadeusz Nowak

Prorok

Warszawa 1977,

Spółdzielnia Wydawnicza "Czytelnik"
(wyd. II)

Spis treści:

- **Rozdział 1**
- **Rozdział 2**
- **Rozdział 3**
- **Rozdział 4**
- **Rozdział 5**
- **Rozdział 6**
- **Rozdział 7**
- **Rozdział 8**
- **Rozdział 9**
- **Rozdział 10**
- **Rozdział 11**
- **Rozdział 12**

1

Wreszcie wyrwałem się stamtąd. Wyrwałem się, uciekłem. Boże mój, szpiku kostny, krwi moja jak magnes, nie opuszczaj mnie teraz. Bo jeszcze przed chwilą, gdy szedłem stwardniałą na kamień ścieżką między zbożami, w których dzwoniło tysiące młotków bijących w kowadła, tysiące srebrnych łyżek czerpiących kwaśne mleko z glinianych misek, czułem za sobą gęsty zapach rozgrzebanego przez kury gnoju, gnojówki rozlanej aż pod sad, rojącej się od muszek, białych i czerwonych robaków, zapach ochwaczonego

konia z obtartymi do żywego mięsa bokami, drzemiącego nad żłobem z jęczmienną sieczką, odór utyłanej w łajnie krowy leżącej na gołej dylinie, wzdychającej przez sen, parchających się wiecznie królików sypiących bobkami, chutliwych szczurów dogryzających spadłego z grzędy koguta, myszy tnących cierpliwie owsiany snopek, świń ciamkających ziemniaczaną pačkę ze szczerbatego koryta.

Wyrwałem się stamtąd skoro świt, zanim ojcowie wygramolili się z drewnianych łózek, wyszli w zgrzebnej koszuli, w gaciach pod sad, żeby spojrzeć na lipcowe niebo, zabrać się do klepania kosy wiszącej na jabłonce, czyszczenia kawałkiem cegły pługa, wstawiania w grabie akacjowych zębów, zgrzeblenia konia, dojenia krowy, macania kur, parzenia ziemniaków, cięcia sieczki, tarcia buraków, wreszcie śpiewania godzinek, iskania młodszego rodzeństwa śpiącego po dwoje w łóżku.

Wyrwałem się stamtąd. Uciekłem. Witaj, ucieczko grzesznych, zbawicielko moja. Dla ciebie, panno nadobna, królowo moja wierna, ciułałem czerwonia po czerwioncu, brudasa po brudasie z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Drucianym czerpakiem wydzierałem żwir z dna rzeki kubik po kubiku, ścinałem sąg po sągu drzewo w lesie, ładowałem tona po tonie cukrówkę na wagony, łowiłem w jeziorze pijawki dla wszystkich okolicznych aptek i znachorów, zakładałem wnyki na zające, zabijałem dębową pałką, dusiłem oczkiem z druta idące na tarło większe od prosięcia łososie, gołą łapą wyciągałem z jam nadrzecznych śmierdzące jak padlina, jak bzdziący staruch drzemiący na piecu, tchórze. Wybierałem pełne czapki bażancich i czajczych jaj, żeby je sprzedawać starzejącym się adwokatom, doktorom, urzędnikom powiatowym, rozmaitym działaczom, którzy w pracy dla ludu potracili jurność, zawadiackość parobczyńską.

Jak jedwab, jak złotogłów wygłaskałem papierek po papierku, wymieniałem wymiętoszone na co tylko wyszłe spod prasy, układałem w metalowej puszcze po landrynkach, przesypywałem talkiem i potłuczoną naftaliną. Dopiero dzisiaj wyjąłem tę zardzewiałą puszkę spod krokwi, z siana i wysypałem z niej pieniądze. Była tego spora garść, tysiączków kilkadziesiąt, żebyś niejedną krowę kupić, niejedno wesele przetańcował. Otrzeptałem stówka po stówce, pięćsetka po pięćsetce, tysiączek po tysiączku z talku i naftaliny, zawinałem w kawałek pergaminu i schowałem do wewnętrznej kieszeni marynarki, którą zapiąłem na guzik i jeszcze na wszelki wypadek spiąłem agrafką.

Pustą puszkę, obciążoną kamieniem, wrzuciłem do wychodka. Patrzyłem, jak powoli idzie na dno rodzinnego łajna wywożonego co roku taczkami pod cebulowe, czosnkowe i ogórkowe grządki, jak się topi puszczając bąbelki. Nawet wyobraziłem sobie, jak mój stary w przyszłym roku na wiosnę dziabnie widłami w tę puszkę, wyciągnie ją i będzie ze trzy zdrowaśki mozolnie dumał, sumował się, co za czort ją tam wrzucił, na co mu była potrzebna i co w niej przechowywał.

A dumaj sobie, dumaj, stary koźle obmacujący wszystkie baby na

weselach, na festynach, łącący na czworakach po łące, po wiklinie, jeśliś tylko dojrzał, że skrada się tam dziewczucha z parobkiem. Gdybyś wiedział, ile w niej było dudków i co ja z nimi teraz zrobię, słowo daję, szlag by cię na miejscu trafił, krew by ci się rzuciła do łba, do wiecznie zaropiałych ślepiów i zaniemówiłbyś na parę tygodni, i ślina by ci ciekła po szczeciniastej brodzie, jak temu głuptokowi Jaškowi, który przez całe życie patrzy za stodołę, gdyż mu się wydaje, że stamtąd przyjdą do niego aniołowie. Albo wyprowadziłbyś kopniakami naszego siwka w pole, zaprzął go do pługa, wbił lemiesz aż do wody podskórnej, gruntowej i orał nim do utraty tchu, do śmiertelnego potu tę swoją zaperzoną ojcowiznę, żeby cię odeszła złość, żebyś nie musiał wyc po nocach jak basior. Albo tłułbyś naszą matkę, pasyjkę wielkanocną, chudsza od dwóch kołków zbitych teksem na krzyż, na których wieszka się strach na wróble, którym straszy się dzieci próbujące się zaszyć w prosie, w dusznych konopiach, w koprze.

Bądź zdrów, rodzicielu mój, dumający nad miską parujących ziemniaków okraszonych omastą, zalanych żurem podbitym jajkiem. Nigdy już do ciebie nie wrócę. Nie przyjadę, nie przyjdę na piechotę z kijem w ręce, z workiem na plecach, jak ten marnotrawny syn idący przez księgę i idący. Nie upadnę przed tobą na kolana, nie pocałuję twojej ręki wyciągającej przed godziną krowie łożysko, sprawdzającej, czy gnój nie jest zaparzony, trzaskającej o ziemię śpika. Nawet nie myśl o tym po nocach, w czasie spowiedzi wielkanocnej, przy ołtarzu, gdy będziesz przyjmował wiatyk, to słoneczko, jak go nazywasz. Nie macaj co rano grzbietu wieprzka pochrzającego w chlewiku, nie sprawdzaj słoniny, szynki, mięsiwa przy grubej kości, krzyżówki, żeby go zabić na moje przyjście żalosne, pokorniejsze niż przyjście ze stawu, przyczołganie się z glinianki podrośniętego szczenięcia, które jakimś cudem urwało się ze sznurka przywiązanego do cegły.

Nie szykuj w komorze zacieru żytniego, buraczanego, śliwkowego, nie pędź z niego bimbru po nocach w bżowym krzaku za domem, w jamie nad rzeką, spirytusu naszego powszedniego. Nie stuknę się z tobą grubą szklanką, nie będę wachał odciętej od bochenka przylepki, dziabał widelcem o dwóch zębach kiszonych ogórków, śpiewał twoich chutliwych przyśpiewek błyskających pośladkami bielszymi od śniegu, śniadymi jak cyna, obejmował cię za zgrubiałą od roboty, od wrzasku, szyję, na której tętnice chodzą jak postronki, całował w szczeciniaste policzki zrudziałe od upału, od machorki, jakby przyprószone popiołem od sypiącej się siwizny.

Razem z tą puszką, wyciągniętą na wiosnę widłami, poszły na dno moje lata spędzone w tym drewnianym domu, na tym podwórzu wiecznie zaścielonym słomą, sianem, kurzym i gęsim łajnem, pierzem, moje dzieciństwo i chłopięce lata czekające na dojrzewającą przy studni wisienkę, na dziką jabłonkę sypiącą pod jesień kulkami octu, psiarkami, moja pierwsza młodość oczekująca w skoszonej łące na Maryskę znaną całej kawalerce w okolicy, chodzącą bez majtek, bez koszuli i bez stanika, ściągającą perkalikową sukienkę, gdy tylko się spojrzało na nią goręcej, przymilniej.

Wszyscy o tobie zapomną, Maryśko, Mario, królowo skoszonego siana, letnich stodół, wiosennej wikliny, opłotków, sadów kapiących w sierpniu zalęgniętymi gwiazdami. Zapomną o tobie, bezwstydnico święta, pocieszycielko spragnionych, diablicco łaskotliwa, wycirusie chichotliwy o piersiach twardych jak kowadła, o pośladkach jak dwa dzwony sprawione zaraz po wojnie przez naszych z Chicago. Zapomną te nigdy nie myjące się wsiowe byczki cuchnące końskim potem, zaparzoną zbożem, ziemią przesyconą grudkami żelaza, sierpniową burzą wypaloną jak siarka, ci obabieni chłopi, którym po nocach śniła się Sodom i Gomora i zwiewne miejskie dziewczeczki w cieńszych niż pajęczyna koszulkach, że wystarczyło dmuchnąć, a jawiła się golizna, te kaliki z nogą przetrąconą przez wóz drabiniasty walący się do stawu, urwaną w kieratowych trybach, w młocarniach, ci starcy podobni do biblijnych proroków, siedzący na progu, zapatrzeni w zaświaty, a w gruncie rzeczy marzący, jak by tu uciuć stówkę, żeby ci ją wepchnąć w rękę i głaskać cię po piersiach chociaż przez minutę, szczypać w pośladki; ci odpustowi kramarze sprzedający serca, medaliki, pasyjki odlane z cyny, korale, ptaszki wystrugane mozolnie z drzewa, zrobione z gliny, zostawiający na stole obok napoczętego chleba, na sianie w stodole książeczkę do nabożeństwa owiniętą w różaniec; ci powiatowi urzędnicy, komornicy, przyjeżdżający w sprawie kontraktacji, podatku, obowiązkowych dostaw, przyprowadzani o północy przez sołtysa, czkający z przeżarcia, z czerwonymi od przepicia ślepiami.

Zapomną, wszyscy o tobie zapomną. Mak i trawę, i ciężkie jak lane żelazo przekleństwo na pamięci o tobie posieją, królowo nasza gminna, kopko siana gorętsza od krowiego brzucha, wodo lipcowa ustała na słońcu, zmywająca z nas, z naszej chłopskiej krwi zbierające się na burzę upały, pomylenia, zaćmienia umysłu, wariactwa, od których topił się nasz mózg, a dusza nasza szła na zatracenie jak majowy śnieg. Ciągłe będę powtarzał jak pacierz, jak litanię tamte słowa, któreś mi mówiła na skoszonym sianie. O Magdaleno święta, dziewczko chutliwa jak króliczka, boskie ziarno pszenicy wiecznie rozwarte, bądź mi pozdrowiona, bądź mi uwielbiona, bądź noszona na obrazach świętych, na feretronach kościelnych w procesjach idących wokół kościoła, przez dojrzewające zboże, przez sady całe w złotych i czerwonych iskrach.

Niech się zawsze i wszędzie dzieje wola twoja, jako się onegdaj działała na tym skoszonym równo z jutrznią sianie. Niech się objawi ta, co się objawiło we mnie, młodziku ledwie opierzanym. A męskość moja, która za twoim przyzwoleniem, za wiedzą twoją, uległością weszła w ciebie tak, żeś krzyknęła, że pociemniała ci twarz, jakby twoją krew biczowało stu chłopów, sto tercjarek, stu księży pragnących wypędzić spod twojej skóry posiane tam przez Kusego ogniste proso, a męskość moja, jeszcze raz powtarzam, niech cię nie opuszcza. Jako chciałaś wtedy nade mną, niech ją rodzi dla ciebie każdy kłos, każde źdźbło trawy.

Wreszcie wyrwałem się stamtąd. Od ciebie też, nigdy nie ujeżdżona

kobyłko, wiecznie zielony krzewie, biała rzeko rozwarta jak brzoza witka, którą przydusza się do ziemi padalca, zaskrońca, od dziewcząt, z którymi po tobie schodziłem się nad rzeką, w stodole, na stryszku zapchanym mateuszką. Boże ty mój, szpiku kostny, krwi moja przeklęta. Ile ja napsułem tego babskiego dziurawca, tego ziela wiecznie zielonego, tego lubczyku, asparagusu, mirtu czekającego na zrękowiny. A wszystkie ubierałem w welony, w białe suknie, wprowadzałem do domu z kapelą, z różdką obwieszoną jabłkami, orzechami twardymi jak chłopskie brylanty, z wszystkimi chciałem mieć po pięcioro dzieci, wszystkie nosiłem na rękach, kąpałem własnoręcznie w drewnianych baliach, w wodach ocienionych wikliną, sitowiem, wszystkie co rano tłukłem pięścią, żeby wybić z nich babskie fanaberie, żeby chodziły za mną jak na sznurku, żeby mnie całowały po rękach, myły mi nogi w słonej wodzie, wycierały spoconą twarz w zapaskę, śpiewały nade mną, szykującym się do snu, pachnące mlekiem piosenki.

Wyrwałem się, wyrwałem się stamtąd. Wyrwałem się od was, dziewczuszki szczebiotliwe, panny nadobne, królowny w malwowych ogródkach, księżniczki śpiewające w kościelnym chórze, służebnice plebańskie noszące w procesji obrazy święte, gipsowe figurki, drewniane posągi, wyszywane złotem poduszki, sypiące z koszyków garście polnych kwiatów, w pieśni idące w niebo jak dym, jak kadzidło. Wyrwałem się i stoję sam na przystanku autobusowym z kuferkiem, w którym mam parę popelinowych koszul kupionych w powiatowym miasteczku, kościelne ubranie uszyte u naszego krawca, maszynkę do golenia przysłaną mi przez ciotkę z Kanady i zrobiony z kawałka starej kosy majcher, z którym chodziłem na wesela i zabawy. Może mi się jeszcze przyda tam, gdzie się wybieram.

Wyrwałem się i jest mi tak, jakbym wreszcie powalił jednym uderzeniem pięści zwalającego mnie zawsze z nóg tryka, byczka bodącego zachodzące wiosennie w wierzby słońce, knura wygryzającego z podmurówki kawałki cegły i kamieni. Stoję na przystanku, palę papierosa, strzepuję kurz z płóciennego płaszcza, chusteczką do nosa glansuję czarne półbuty, aluminiowym grzebykiem po raz dziesiąty zaczesuję moje jasne włosy, mokre od padającej rosy. Czekam na autobus i pociągam nozdrzami jak zgoniony pies, który nie może się opędzić od zapachu zapchlonej budy, zarzynanego na niedzielę koguta, królika odzieranego ze skóry, przywiązanego za zadnie nogi do najniższej jabłonkowej gałązki.

Za mną jest ta wieś, ten gęsi kojec, już teraz śpiewająca od końca do końca godzinki, patrząca, jak przez lipcowe niebo przelatuje anioł pański i po chwili zapada w dojrzewające zboże, gdzie dziecko zostawione suczo drze się wniebogłosy, opędza od mrówek wążących w jego usta. Za mną jest ta drewniana wieczność łamiąca pełną garścią chleb, jakby łamała kości gołębiowi młodziakowi, idąca z wiadrem do studni i jeszcze na krok przed cembrowiną wierząca, że woda w niej przemieniła się w wino, a wino w krew Pańską. Tak się jej przecież tej nocy śniło, takie miała objawienie senne. I wreszcie się stanie Kana Galilejska, jak przepowiadał przed wojną ślepiec

chodzący od wsi do wsi, od domu do domu.

A drogą, na którą nie wyszła jeszcze ani gęś, ani kura, po której skacze zaledwie pliszka, biegnie już pomyłony Michał. Biegnie z bochenkiem chleba pod pachą, ze strażacką trąbą przytkniętą do ust. Na sąd, na Sąd Ostateczny trąbi. I truchleją trawy, i sady siwieją, i w popiół idzie, co żywe w wodzie, na ziemi i w powietrzu. A gdy przestaje trąbić, łamie bochenek w rękach i rzucając kawałki chleba na pole, na podwórza, krzyczy trzymając się za głowę nigdy nie czesaną:

- Ludzie, ludzie, o bracia moi grzeszni, oto ciało Pańskie. Bierzcie i jedzcie do syta. A gdy się najecie, czekajcie na progu. Nie wychodźcie w pola, do lasu, nad rzekę, tylko czekajcie tam, gdzie was zastał głos idący z niebios. Albowiem lada chwila zjawi się ON na drabiniastym wozie i będzie czynił sąd i podzieli was jednym spojrzeniem tak, jak się dzieli jasność od ciemności, dech od kości, krew od wody zbełtanej. Ludzie, ludzie, szykujcie się, ludzie.

A po Michale, prawie nagi, idzie przez wieś drogą zasypaną kurzem po kostki pomyłony Franuś. Idzie pochylony prawie do kurzu, bo na plecach niesie zbity z dębowych bierwion krzyż. Niesie ten krzyż i co parę kroków upada pod nim na kolana, na twarz. A upadając modli się spierzchniętymi wargami i woła:

- Oddal, oddal ode mnie ten krzew gorejący, to słońce z żółci i octu. Daj mi wody garnuszek, siostró Magdaleno, połóż mi rękę na czole, Mario, matko moja, osłoń mnie koroną ciernistą, duszo moja ciernista, tarninowa. Ojciec mój, ojciec, czemuś mnie opuścił, czemuś mnie wygnał z domu mojego, dlaczegoś mnie poszczuła psami, czemuś pozwolił, że ten łotr, sąsiad po lewicy, otworzył moją czaszkę i wlał w nią roztopioną cynę i młyn w niej zbudował i stajnię założył, w której rzy znarowiony ogier przywiązany do moich tętnic, do żył wszystkich i świnia pochrząkuje, maciora, radząca zamiast prosiat grzechy śmiertelne.

A po nich idzie tą samą drogą pomyłona Anielcia, której się wydaje, że jest Marią Panną. Na rękach niesie zrobioną z gałganków kukłę. Karmi to dziecko, tego stworzyciela przyszłego nieba i ziemi mlekiem z flaszki, śpiewa mu kołysanki, kolędy. Niesie tę kukłę nad rzekę, żeby upaść przed nią na kolana, bić czołem o wapienny kamień, płakać i wrzucić ją do lipcowej rzeki jeszcze we mgle, w zielonym chłodzie wikliny, topoli, wrzucić z przywiązaniem kamieniem do szmacianej nóżki, żeby to dzieciątko, ten zbawiciel nie dorósł do krzyża cynowego, do krzyża figowego zakrzepłego jak żółć zapiekła, jak nasza nienawiść, do korony cierniowej, do tego wieszania na wszystkich krzyżach przy polnych i leśnych drogach.

Wyrwałem się stamtąd. Boże mój, wyrwałem. Żegnaj, niewolo moja, postronku na szyi, kółko żelazne w nozdrzach, młyński kamieniu przywiązany do nóg. Żegnajcie, jaglane, jęczmienne i gryczane kasze. Żegnajcie, prażuchy, pęcaki, garusy śliwkowe, pierogi jak pięści, kluski twarde jak rzemienie, zacierki jak białe kozie bobki, zalewajki, żury gęste jak suchotnicza plwocina, ziemniaczane paluchy, gałki ze śliwkamu, kapusty jałowe jak zazga i kapusty

pożółkłe od wiekowego sadła, sperki przybite bretnalami do przewiewnej facjatki, czosnkowe kielbasy wiszące na żerdce jak suszące się na słońcu zaskrońce.

Żegnaj, cajgowa kufajko, zgrzebna koszulo, gacie zgrzebne z troczkami ciągle się rozwiązującymi, utyłanymi w gnojówce, walonki wyścielane sianem, króliczą skórką, żegnaj, micko ściągnięta zawadiacko na bakier, ciepła jeszcze od wybieranych spad kur jaj, krawatko na gumce, barani kożuchu chodzący od pcheł, trzewiku, zasuszona paszczo szczupakowa, podkuty gwoździami i podkówką, biały swetrze zrobiony na drutach z wełny ostrzejszej niż drut. Żegnajcie, zapchlone sienniki, drewniane łoża, przepocone pierzyny, kraciaste poduszki, prześcieradła służące do spania i do noszenia łabudy z pola. Żegnaj, studnio z wodą żelazistą gnijącą od spadłych liści, izbo bielona na siwo, upstrzona przez muchy, obrazy świętych patrzące na nasz ród zaciągniętą przez pajęczynę źrenicą.

No, czemu tak patrzysz na mnie, biała od kurzu trawo, babko rosnąca na poboczu drogi, mleczu wydojony przez mszyce, jadowita pokrzywo wypadła z księgi diabelskiej, łopuchu służący nam za kapelusz i za parasol, skrzypie zbudowany z wieżyczek, podbiale odwracający się do wiatru jedwabną podszewką. Czemu wywalasz na mnie ślepią, powalona przez burzę pszenico, piwonio jak skrzep wyciekły ze świniobicia, malwo zagładająca dziewczętom za staniki, lipo, o której mówią we wsi, że w jej koronę spadł cygański bóg i rozbił w niej basetkę, gdyż tak huczy od pszczół, od wieczności dziejącej się w niej. Nie zabiłem wam ani brata, ani swata, nie dziabnąłem was kosą, sierpem, motyką, nie darłem z was pasów na łyko, nie skręcałem na postronki, żeby na nich przyprowadzić oźrebioną dal, nie ukręcałem wam głów. Chcecie, to pomodłę się za was, litanie zaśpiewam, zatańczę na środku drogi, stanę na rękach, pochodzę, będę się turlał po białym od kurzu gościńcu. Mogę przecież zatańczyć, bo nie ma tu żywej duszy, nawet dnia wczorajszego pogwizdującego z komina rozwalonego domu, i nikt ze wsi nie idzie, nie jedzie. Cisza jest wielka. Cisza i przymglenie ze spijanej przez coraz wyższe słońce rosy. Ostatni raz dla was zatańczę. Z radości dla was zatańczę, żeście mnie nie wydały, nie krzyczały tajemnie, żeby przyszedł po mnie mój stary z dębczakiem, z postronkiem wyrwanym z chomąta, umoczoną w wodzie, z chabinką tnącą po nogach jak brzytwa.

On się jeszcze nie wygramolił spod pierzyny, spod tej drugiej baby, biodrzastej, z szerokimi udami, z zadem jak u perszerona. Śpi sobie w najlepsze i jak zwykle ssie przez sen, jak w dzieciństwie, spękany do kości, zalany smołą, pożółkły od tytoniu kciuk. Nie przyjdzie tu, nie ucapi mnie żeliwną ręką za ozerdle, nie zdzieli pięścią między ślepią, nie kopnie z całej siły w tyłek i nie zacznie mnie pędzić przed sobą jak znarowionego tryka, jak knura do domu. Boże mój, świecąca do tej pory na dzień rzeki, na dzień studni, gwiazdo moja, jak się to stało, żeście mnie osłoniły przed nim. On śpi sobie słodziutko i pierogi pływające w maśle jeden po drugim, jeden po drugim wchodzą do jego rozwartych ust, i królicze nogi, i kurze udko, i wieprzowa

krzyżówka pachnąca kminkiem. A na końcu defiluje przed nim, jak przed generałem na manewrach, bimber w półlitrowce i ta sama szklanka, która stoi za szybą w kredensie.

Wyrwałem ci się, stary zbójcu. Uciekłem od twej pięści, od stówek dawanych mi raz na miesiąc, od skwarków wydzielanych nam po dwa, po trzy, od kurzych skrzydełek, przednich nóg króliczych, głów, od cerowanych koszul, od butów z przyszczypkami, od portek z łąką na łącie, od twojego bata, którym smagałeś mnie po nogach, gdy siwek prowadzony przeze mnie przy pysku schodził z ziemniaczanej grzędy. Wyrwałem się od pacierzy mówionych na rozsypanym grochu, od podkutych, granatowych oczu naszej matki, katowanej co tydzień, noszącej cięższy od lanego żelaza krzyż pański, od młodszego rodzeństwa z rozdętymi brzuchami, biegającego boso, z twardymi jak końskie kopyta stopami. Od głodzonego psa wyjącego po nocach, kopanego w podbrzusze, od siwka bitego tyką wyrwaną spod grochu w obtarte boki, w krwawiący pysk, w żółte od starości zęby, w ślepie zaciągnięte bielmem.

Choćbyś teraz wyszedł na ganek, spojrzął spod dłoni na powiatową drogę, choćbyś mnie zobaczył, jak stoję oparty plecami o pień lipy i palę papierosa, i spoglądam na nasze podwórze, po którym krząta się w tybetce związanej pod szyję nasza matka, choćbyś nawet przeczuł, że uciekam, choćbyś zwąchał jak pies trop zajęczy, że raz na zawsze wyrwałem się od ciebie, nie zdążysz już, nie dopędzisz mnie. Autobus już jedzie. Już go widzę w obłoku kurzu, już się zatrzymuje, już się otwierają drzwi, już rusza. Wyrwałem się. Wreszcie się wyrwałem stamtąd, Boże mój, szpiku kostny, krwi moja jak magnes.

[Spis treści](#)

Komentarze dotyczące mojej witryny można wpisywać w [Mojej księdze gości](#)
